

" P O D J A R Z M E M "

-----  
/fragment wspomnień/

Nasze mieszkanie było zapieczetowane. Na drzwiach widniała kartka z napisem "Beschlagnamt", a pod tym czarny orzeł ze swastyką. Na drugim wejściu od oficyny to samo. Co robić? Gdzie podziąć się? Byłam tak zmęczona, że nawet gdyby dom miał się zawalić nie ruszyłabym się dalej. Wtedy mama ostrożnie odkleiła kartkę i... weszliśmy do ostatniego pokoju za kuchnią. Był w nim straszny bałagan - pootwierane szafy, porozrzucane pierzyny...

- Widocznie ktoś tu czegoś szukał, ale tylko pośpiesznie, bo jest nasze radio, które wepchnąłem pod łóżko - rzekł brat włączając wtyczkę do kontaktu. - Zaraz się dowiemy co słychać na świecie.

- Ani mi się waź! - zaszepotała matka - nas nie ma! Prześpijmy się, a potem szukać będziemy jakiejś rady.

Z niewymowną rozkoszą przytknęłam głowę do poduszki i już mnie nie było. Zbudził mnie głos matki, która pokazywała nam jakiś papier, widocznie urzędowy, bo znów z taką "gapą" z krzyżem.

- Byłam u nich w zarządzie miejskim, w ratuszu. Mamy przydział na nasze mieszkanie, ale musimy na nie przyjmować Niemców - rzekła.

Odnajmować pokoje, no trudno, ale będzie na życie.

- Jakie to życie - rzekł brat gorzko. - Ciężka niewola.

To nie ci sami Niemcy, których ty znałaś, mamo. Opętał ich ten szaleniec, który chce zawiądnąć całym światem. Widziałaś co robili z Żydami zaraz po wejściu do Garwolina. I z nami nie będą się cackali.

I miał rację. Kiedy powróciliśmy z ucieczki do Torunia, tej samej nocy Gestapo aresztowało 700 Polaków, przeważnie inteligencję. Wśród nich był także ojciec Eli B., mieszkający na tej samej ulicy i Staszek K. Serdeczny kolega mojego brata, a moja szkolna sympatia. Początkowo umieszczono ich w fortach, a potem wywieziono nocą, tak że nikt nie wiedział dokąd. Strach padł na wszystkich.

- Wy nie będziecie na razie nigdzie wychodzić - zdecydowała matka. - Mój nadreński akcent wiele mi pomaga - rzekła wynosząc z mieszkania nasze radio. - Trzeba oddać, bo za posiadanie radia przez Polaków grozi kara śmierci. Postaram się też dostać coś do zjedzenia, a wy doprowadźcie mieszkanie do porządku.

Uciekając w pośpiechu porozrzucaliśmy wiele rzeczy, ale znać było, że tu ktoś był. Część mebli wyniesiono, a w ciężkich szafach porozbijane były zamki.



Stojąc przy oknie, ze ściśniętym sercem patrzyłam jak ulicą maszerowali żołnierze w szarob-zielonych mundurach, uzbrojeni po zęby i śpiewający piosenki, w których powtarzał się uparczywie refren "Haili, hailo". Ach, gdyby to wszystko było tylko złym snem, lecz niestety była to bolesna rzeczywistość.

Jeszcze tego samego dnia zgłosili się przydzieleni nam przez urząd kwaterunkowy sublokatorzy - Hans Kempke - deutscher Beamte, jak sam się przedstawił, i Herbert Grützmacher. Obaj pracowali na poczcie, a pochodzili z Meklenburgii, z miasta Güstrow. Zajęli największy, balkonowy pokój, sprawdzili funkcjonowanie zamków u drzwi zajętego pomieszczenia i oświadczyli, że mają zwyczaj sypiania z bronią pod poduszką. Mnie, która ich przyjmowałam, obdarzyli komplementem, że mam typowo niemiecką urodę, chociaż strasznie kaleczę ich język. Na pewno będzie ze mnie dobra Niemka, tylko trzeba <sup>mi</sup> odpowiednio przeszkolić i wychować.

- Ale ja jestem Polką i nie chcę! - wyrzuciłam z siebie głęboko urażona.

- To ci przejdzie! - rzucił starszy, łysy, na którego zielonym mundurze pocztowca błyszczał hackenkreutz ze złotą obwódką.



395

- Dołożymy starań, by spełnić zalecenie Führera o odszukiwaniu niemieckiej krwi, a ty sama zobaczysz, że to nie takie straszne - rzekł chwytając mnie ze znaczącym spojrzeniem pod brodę.

Szczęście, że zadzwonił dzwonek u drzwi i weszła matka. Z płaczem rzuciłam się jej na szyję i opowiedziałam całą rozmowę. Matka przycisnęła mnie do siebie i powiedziała, że przyjdzie nam znieść jeszcze niejedno upokorzenie. Zdecydowała, że sama będzie usługiwać naszym przymusowym gościom, by nie narażać mnie na ich zaczepki. Brat w bezsilnej złości przygryzał usta i starał się z nimi jak najmniej spotykać. Kontaktów nie dało się jednak całkowicie uniknąć.

Jakże daleka była ich mowa od tej, której uczyła nas w gimnazjum pani profesor Szczurkiewiczowa. Mówili między sobą jakimś okropnym platdeutschem, który mama jednak rozumiała. Codziennie wieczorem wystawiali do czyszczenia buty, a gdy niedostatecznie ich zdaniem lśniły, skarżyli się, że widocznie nikt nie nauczył nas dokładnie pracować, <sup>ale</sup> smi oni, Niemcy - narodowo-socjaliści nas nauczą. Bałam się ich i nienawidziłam z całego serca, gdy przechodzili przez nasz pokój do kuchni, gdzie smażyli na maśle mięso, lub gotowali tłuste kiełbasy.



377

Chociaż żywiliśmy się bardzo marnie, bo nie mieliśmy pieniędzy, a przydziały żywnościowe dla Polaków były minimalne, nie przełknęłabym od nich najmniejszego kęska. Od czasu do czasu udało się nam dostać trochę żyta i pszenicy, którą męło się na młynku od kawy i piekło chleb.

Pocztowcy co dnia wynosili z domu dobrze zapakowane paczki, które wysyłali do rodzin, wykupując wszystko, co im tylko wpadło w ręce.

W następnym tygodniu sprowadzili się do drugiego pokoju inni Niemcy. Byli to rzemieślnicy zatrudnieni w firmie Siemens przy odbudowie mostu drogowego. Było ich trzech - Hans Jansen, Max Pobanz i najmłodszy Heinz, którego nazwiska niestety już nie pamiętam. Pochodzili z Nadrenii, nie byli członkami partii narodowo-socjalistycznej, ale jako rzemieślnicy - fachowcy należeli do t.zw. "Kriegsbedürftig" /niezbędnych dla wojny/. Do nas odnosili się jak do ludzi. Jeden z nich Max powiedział nam nawet w zaufaniu, że jest komunistą i dopiero teraz, kiedy każda sprawna ręka jest potrzebna Rzeszy znalazł stałą pracę. Oddali manie swoje kartki żywnościowe, ażeby gotowała dla nich posiłki, a przy nich chociaż skromnie ale i my się najemy.

Najważniejsze jednak było to, że zatrudnili u siebie jako pomocnika mojego brata, nie patrząc na to, że jest Polakiem i że o tej pracy nie ma zielonego pojęcia. Dostał nawet kartki żywnościowe dla "ciężko pracujących" i zaświadczenie, że pracuje przy ważnej dla Rzeszy odbudowie mostu. Teraz mógł już wychodzić na ulicę bez obawy, że każdy napotkany żandarm, gestapowiec czy nawet zwykły cywil, byle Niemiec może go zaczepić i odstawić na policję.

Ósmego dnia po naszym powrocie do domu zjawił się Rundt i wspaniałomyślnie oświadczył:


- Między nami jest wyrównany rachunek. Wy mnie nie denuncjowa-  
liście, więc i ja tego nie zrobię - powiedział wyciągając do matki  
rękę na znak pojednania.

- A swoją drogą to może dobrze, że was tu nie było, rzucił  
odwracając się do mnie. Tylko nie mieszajcie się do żadnych  
organizacji, bo wtedy naprawdę będzie źle. Szczególnie ty -  
wskazał palcem na brata.

Kiedy wyszedł, wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, a matka prosiła  
brata, by naprawdę nie mieszał się do niczego. Czułam jednak, że  
ostrzeżenia były daremne. Znikał gdzieś po pracy, a wieczorami  
kiedy wszyscy już spali ukradkiem długo przepisywał coś na cienkie



kartkach, które potem chował za piec. Dwa razy nawet kazał mi małą paczuszkę odnieść pod wskazanym adresem, ale polecił uważać, by nikt mnie nie zatrzymał. Kiedy go przycisnęłam, powiedział mi, że to gazetka - przepisane ostatnie komunikaty z angielskiego radia. Ale sza! Nikomu nie wolno mówić, a szczególnie matce. Błagałam go, żeby był ostrożny. Aresztowania Polaków trwały ciągle. Hitlerowcy czuli się panami miasta i pilnie sledzili każdego, kto wzbudził w nich najmniejsze podejrzenie lub tych, którzy spotykali się z podejrzanym. Butnej młodzieży zrzeszonej w Hitlerjugend i SA - mamon trzeba było pośpiesznie ustępować z drogi schodząc na jezdnię, gdyż od razu bili po twarzy, kopali, a nawet kłuli krótkimi sztylecikami wiszącymi im u pasa. Niektórzy żądali nawet, żeby już z daleka zdejmować przed nimi nakrycia głowy. Dotyczyło to mężczyzn. Zawsze mógł znaleźć się powód do aresztowania i tego baliśmy się bardzo. Kolportaż gazetek ustał, gdy część kolegów aresztowano, a inni uciekli do Generalnej Gubernii. Z drżeniem serca nasłuchiwa- liśmy każdego kroku na schodach i dzwonka u drzwi, ale mijały dni i niebezpieczeństwo jakoś wtedy nas ominęło.





- 8 -

Zima była bardzo ciężka. Wśród zwałów śniegu skrzypiącego pod nogami, nosiłam z matką obiady pracującym przy moście. Tak bardzo żał mi było brata, który nie był przyzwyczajony do ciężkiej pracy fizycznej i przychodził do domu nieludzko zziębnięty i sponiewierany. Mróz był tak silny, że popękały rury wodociągowe i wodę trzeba było nosić z sąsiedniego domu. Któregoś dnia brat niosąc wiadro wody, potknął się i wylał wodę na stojący w korytarzu kosz z bielizną, należącą do żony naszego Blockleitiera. Podniosła wielki krzyk, ale bratu udało się uciec. Niestety, usłużny sąsiad mieszkający pod nami, podał jej jego imię, nazwisko i miejsce zamieszkania. /Poinformowali nas o tym inni sąsiedzi/. Było to tym bardziej przykre, że człowiek ten był Polakiem, pochodził z Kongresówki, jego żona i dzieci wcale nie znały niemieckiego, a mimo to zrobił się Volksdeutschem i nosił na piersi charakterystyczną odznakę, przez Polaków nazywaną popularnie "jajem". Jego syn pracował przy odbudowie mostu kolejowego jako brygadzysta i wielu podległych mu ludzi skarżyło się na niego. Do ich mieszkania stale przychodzili jacyś cywile, których witał i żegnał głośnym "Heil Hitler". Nierzadko bywał też u niego blokowy. Baliśmy się tych ludzi bardzo. Skutki tej denuncjacji odczuliśmy po pewnym czasie.



321

Wiosna długo nie przychodziła, a prześladowania ludności polskiej przybierało coraz bardziej na sile. Do Torunia przybywały transporty Polaków wysiedlonych z terenu całego Pomorza. Punktem zatrzymania była Szmalcówka na Grudziądzkiej, a potem, jeśli ktoś przeżył, obóz w Potulicach. Ludzi tych wyrzucano z ich mieszkań i gospodarstw tak jak stali z maleńkimi dziećmi, starymi, chorymi rodzicami, pozwalając zabrać ze sobą zaledwie jakiś tobołek do Ręki. Ich mienie obejmowali Niemcy z Bessarabii i krajów nadbałtyckich,

Rozpoczęło się też masowe wywożenie młodzieży na roboty do Niemiec. Traktowano ją tam nieludzko zmuszając do pracy u gospodarzy, którzy nabywali dziewczęta i chłopców jak niewolników lub bydło na jarmarku. Każdego dnia spodziewałam się, że dostanę wezwanie do "Arbeitsamtu". Życzliwi nam Niemcy zakończyli swoją pracę i wyjechali na inną budowę. Bratu groziło zwolnienie z pracy, a nadomiar złego zaziębił się ciężko, kiedy pośliznął się na rusztowaniu i wpadł do lodowatej wody. Na szczęście tuż przy brzegu.

I wtedy stało się to najstraszniejsze. 10 kwietnia 1940 roku o godzinie 5-tej rano przyszli po brata żandarmi. Wyczytali imię i nazwisko z długiej listy, kazali się prędko ubierać i popychając

zsiniałego z przerażenia, trzymającego się ledwie na nogach, wyprowadzili z mieszkania. Nie pomogły moje błagania o litość, że chory. Nie pomógł lament matki, która rzuciła im się do nóg, błagając o łaskę dla swego dziecka. W tym dniu zabrano setki mężczyzn i wywieziono za miasto, jak się potem okazało do VII fortu. Rozpacz nasza była bezgraniczna. Matka z innymi kobietami dostała się do bram fortu i oddała dla brata koc, swetr oraz ciepłą bieliznę. Nigdy tych rzeczy nie otrzymał.

---ooOoo---